

Pewnego dnia córka moja Magda, zaczęła mnie wypytywać o szczegóły naszego rodu takie jak imiona i daty dotyczące naszej przeszłości. Również Jola wypytywała mnie o rodowe tytuły. Takie same zainteresowania wyrażała w rozmowie ze mną córka mojej siostry Janki – Hanka.

To mnie ostatecznie przekonało i zdopingowało do napisania historii naszego rodu i przeżyć rodzinnych, a przede wszystkim osobistych. A była to naprawdę ciekawa historia obrazująca daną epokę, pełną tragedii i nieszczęść.

Pracę nad tą książką zacząłem od odwiedzenia biblioteki PAN w Gdańsku. Wiedziałem od mojego ojca, że ród nasz posiada herb i tytuł *von*. W bibliotece poprosiłem o herbarz polski, w którym znalazłem opis rodu Wilczewskich z namalowanym herbem rodu – *Talen* i tytuł *Von*. Były to trzy radła od pług obrócone do góry nogami, wszystko tak jak opisywał mi mój ojciec Tadeusz.

Następnie poprosiłem moje siostry, aby znalazły wszystkie pamiątki rodzinne, zdjęcia i dokumenty. Gdy dowiedziały się co chcę z tym zrobić bardzo się ucieszyły.

Bogatszy o dodatkowe informacje, zdjęcia i dokumenty 11. XI. 1998r. zabrałem się do pisania sagi rodu Wilczewskich.

Mój ojciec Tadeusz Wilczewski urodził się 8 kwietnia 1881 roku w Gdańsku.

Jego dziadek był wielce szanowanym adwokatem z Poznania. Miał on dwunastu synów. Jednym z nich był Stanisław (mój dziadek a ojciec Tadeusza). Inny był zegarmistrzem mieszkającym w Szamotułach, u którego mój ojciec w późniejszym czasie uczył się zawodu, a jego brat, prałat właściwie wychował Tadeusza. Jeszcze inny był inżynierem budownictwa. Mój ojciec miał liczne kuzynostwo, ale tylko z jednym się przyjaźnił, ze Stanisławem. Był on księdzem, profesorem, lekarzem fonetykiem (Fot. 1). Mieszkał w Katowicach i wykładał fonetykę na Uczelni w Krakowie. Ja także, do końca jego dni, utrzymywałem z nim stały kontakt.

Ojciec Tadeusza, Stanisław, był znanym gdańskim kupcem. Handlował on całymi statkami zboża. Jego klienci zawsze mawiali: „idziemy do Wilusia”. Ożenił się z Marią Scholastyką Lniską, herbu Ostoja. Jej rodzice mieli pod Kartuzami majątek „Grzebieniec”. Obecnie jest tam mała wioska Lniska (prawdopodobnie nazwa ta powstała od ich nazwiska). Wujkiem jej był Józef Wybicki (1747-1822) urodzony w Będominie, który jest autorem słów polskiego hymnu narodowego pt. „Jeszcze Polska nie zginęła”.

„Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy.  
Co nam obca przemoc wzięła, szabłą odbierzemy.  
Marsz, marsz, Dąbrowski, z ziemi włoskiej do Polski !  
Za Twoim przewodem, złączym się z narodem...”

Stanisław i Maria mieszkali w Gdańsku przy ulicy Ogarnej. Mieli oni siedmioro dzieci. Wszystkie uczęszczały do szkoły, w której uczyły się po niemiecku, gdyż język ten był wtedy obowiązkowy. Rodzice jednak, będący wielkimi patriotami, zadbali o to by ich dzieci dobrze poznały język polski i historię, zatrudniając dla nich nauczycielkę. Mój ojciec Tadeusz uczył się w Gimnazjum przy obecnej Alei Leningradzkiej (Liceum Spożywcze).

Każde z siedmiorga dzieci Stanisława i Marii ułożyło sobie życie inaczej.

Najstarsza córka Zosia została zakonnica i jako misjonarka wyjechała do Brazylii, do Parany. Druga Stasia także została zakonnica i osiadła w Toruniu. Jadwiga wyszła za mąż za Niemca polskiego pochodzenia (matka jego była Polką) o nazwisku Friderici. Byli oni bardzo bogaci. Mieli hotel i restaurację w Mikołajkach Pomorskich. (Fot.) Dochowali się czwórki dzieci: dwóch synów i dwóch córek. Młodsza córka sanitariuszka i obaj synowie będąc w wojsku zginęli na froncie w Rosji. Starsza córka, Helena, po mężu Schulc, miała trójkę dzieci. Jej też jednak nie ominęła tragedia, gdyż w drodze do Niemiec zmarła jej córeczka. Zamieszkała w Hanowerze z dwoma synami i mężem, który wrócił z frontu rosyjskiego.

Syn Stanisława i Marii - Wiesław poszedł w ślady ojca i został kupcem. Miał w Warszawie Fabrykę Win i Likierów. Nie miał dzieci. Po wojnie przeniósł się do Szczecina i tam pozostał do śmierci.

Czwarta córka Maria była nauczycielką w Szkole Powszechnej. Mieszkała w Szlachcie a potem w Nowym na Pomorzu. Zmarła jako panna nie pozostawiając potomstwa.

Najmłodszy syn został fryzjerem. Wyemigrował on do Londynu, gdzie założył Zakład Fryzjerski, w którym zatrudniał około stu pracowników. Ożenił się z Angielką, która urodziła mu dwóch synów (Fot.).

Trzeci syn Stanisława - Tadeusz (mój ojciec), był wybitnym fachowcem. Uczył się w Berlińskiej Szkole Zegarmistrzowskiej a pracował między innymi w nadwornej firmie Cesarza Austrii. Podczas zaboru niemieckiego, będąc w wieku poborowym, nie chciał iść do wojska. Znalazł w gazecie ogłoszenie, że w Wilnie zatrudnią zegarmistrza i niezwłocznie się tam udał. W 1914 roku wybuchła I Wojna Światowa. Ponieważ Rosjanie byli z Niemcami w stanie wojny, a Tadeusz był obywatelem niemieckim, więc wywieziono go do Rosji. Tam pracował cały czas jako zegarmistrz. Będąc w Woroneżu poznał młodą pannę Katarzynę Chaja vel. Chajewską (moją matkę). Pochodziła ona z województwa kieleckiego - powiat Jędrzejów - gmina Sobków. Jej ojciec Wawrzyniec i matka Anna mieli jeszcze jedną córkę i syna – Laurenta, który wyemigrował do Belgii, gdzie pracował w kopalni a potem przeniósł się do Francji. Katarzyna znalazła się w Rosji przypadkowo. Jej wujek, który był kolejarzem, zabrał ją koleją w podróż do Rosji. Tam zastała ich wojna i nie mogli powrócić do domu. Wtedy właśnie poznała mojego ojca Tadeusza i obydwójce się w sobie zakochali. Ślub wzięli w 1918 roku w Wilnie, którego udzielił im ksiądz Lasota (Fot.). Tadeusz miał wówczas 37 lat a Katarzyna 25 lat. Wkrótce urodził im się pierwszy syn, którego nazwali Józef. Matka moja zachorowała na tyfus a ponieważ ojciec musiał chodzić do pracy by utrzymać rodzinę, musieli oddawać dziecko do żłobka. Pewnego dnia, gdy ojciec jak zwykle chciał odebrać swego synka, przekazano mu, że Józio zachorował, zmarł i, że nie wydadzą mu jego zwłok, ponieważ już go pochowano. Był to czas rewolucji, więc miasto oblężali raz żołnierze carscy, raz czerwoni. Tego tragicznego dnia w Wilnie akurat byli czerwoni. W ten sposób moi rodzice stracili swoje pierwsze dziecko. Była to dla nich ogromna tragedia. Do dzisiaj nikt nie wie co naprawdę stało się z Józkiem. 22 lutego 1921 roku urodziła się dziewczynka, której nadali imię Zofia. Po skończonej wojnie Tadeusz z rodziną wrócił na stałe do Wilna, ponieważ

zawsze był oczarowany urokiem tego miasta. Tu przyszły na świat kolejne dzieci: ja (21.04.1923), moja siostra Janina (13.02.1925) i mój brat Józef (30.05.1929).

Wilno było pięknym miastem, otoczonym lasami. Przez środek miasta płynęła duża rzeka Wilja. Miało ono około 200 tysięcy mieszkańców, głównie Polaków oraz około 20% Żydów, w których rękach był prawie cały handel. Mieszkańcy miasta byli wielkimi patriotami i ludźmi głębokiej wiary. W Wilnie było przeszło 30 kościołów. Ze względu na cudowny obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej był tam wielki kult do Matki Najświętszej. Co roku na przykład odbywały się bardzo uroczyste nabożeństwa w Ostrej Bramie tzw. „Opieki Matki Boskiej”. Cała główna ulica Ostrobramska była oblegana przez tłumy ludzi. W mieście, na końcu ulicy Kalwaryjskiej, znajdowała się również ładnie położona z pięknymi kapliczkami Kalwaria, do której latem wędrowały rzesze Wilnian. Był to pewnego rodzaju piknik. Całą rodziną zawsze uczestniczyliśmy w tych uroczystościach. Ojciec bardzo dbał o nasze religijne wychowanie. Ja na przykład byłem ministrantem w kościele św. Rafała. Tam też należałem do Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej gdzie graliśmy w różne gry towarzyskie, a także urządzaliśmy, z pomocą księdza przedstawienia teatralne.

Moi rodzice, po przybyciu do Wilna mieszkali początkowo przy ulicy Obozowej w peryferyjnej dzielnicy Łosówka, gdzie się urodziłem ja i moje młodsze rodzeństwo. W tym czasie ojciec aby utrzymać całą rodzinę musiał pracować w warsztacie zegarmistrzowskim od świtu do nocy jako siła najemna. Matka natomiast, pomimo ciężkiej sytuacji wspaniale potrafiła sobie poradzić z prowadzeniem domu i wychowaniem dzieci. Żyliśmy bardzo skromnie ale pani domu tak gospodarzyła, że na wszystko nam starczało. W roku 1930 przeprowadziliśmy się na ulicę Kalwaryjską 76 (na przeciwko cerkwi). Wtedy, za namową księdza Matulewicza, wikarego z parafialnego kościoła Św. Rafała, przeprowadziliśmy się na ulicę Kalwaryjską 55, niedaleko Rynku (mieszkaliśmy w podwórzu). Od strony ulicy ojciec założył własny punkt zegarmistrzowski. Warsztat dobrze prosperował ponieważ znajdował się przy jednej z głównych ulic Wilna i był on okazałym, z dużymi witrynami, punktem zegarmistrzowskim. Ojciec właśnie tam wyuczył mnie zawodu i jednocześnie zapisał do Doksztalczącej Szkoły Zawodowej.

W Wilnie przyjaźniliśmy się z Andraszami. Ojciec tej rodziny służył w wojsku w stopniu starszego sierżanta, w czasie wojny był w niewoli rosyjskiej, potem trafił do Armii Andersa i zmarł w Londynie. Mieli oni trójkę dzieci: dwóch synów i córkę. Najstarszy z nich Stanisław, podobnie jak jego ojciec, był wywieziony do Rosji do Dombasu, gdzie pracował jako zesłaniec w kopalni. Po powrocie z Rosji ożenił się i zamieszkał na stałe w Olsztynie, gdzie zmarł. Janina obecnie mieszka w Morągu a Zygmunt, z którym do tej pory utrzymuję bliski kontakt, mieszka w Olsztynie.

W 1939 roku wybuchła II Wojna Światowa. Zofia miała wtedy osiemnaście lat, ja szesnaście, Janka czternaście, a Józef dziesięć. Przez całą wojnę ojciec nadal prowadził swój warsztat, lecz miał wtedy bardzo mało zleceń. Były to bardzo ciężkie czasy. Musieliśmy chodzić do lasu po gałęzie na opał a żywność zdobywaliśmy stojąc w długich kolejkach. Miasto oblegali raz Niemcy, raz Sowieci. Już w pierwszym dniu wojny były pierwsze ofiary, bo Niemcy, próbując zbombardować most zielony, trafili w budynki mieszkalne. Od tego czasu, ze względu na ciągłe naloty, musieliśmy chować się w piwnicy. Pewnego dnia jedna z bomb trafiła w ogród niedaleko naszego mieszkania, na skutek czego wyleciały wszystkie szyby. Sowieci natomiast wywozili polskie rodziny do Rosji i człowiek nie mógł być pewny dnia ani godziny. Na szczęście nam udało się ustrzec od tego. Ostatecznie miasto zdobyli Niemcy i oddali władzę w ręce Litwinów. Janina i Józef całą wojnę byli razem z rodzicami. Jednak najmłodszy z nas Józef, zaledwie jedenastoletni chłopak strasznie przeżywał nocne bombardowania. Gdy niemieckie eskadry co noc przelatując nad miastem oświetlały je i bombardowały, Józio przykrywał głowę poduszkami i cały się trząsał. Ponad to będąc piętnastoletnim chłopcem miał przeprawę z Litwinami. Napadli oni na niego na ulicy, zawlekli do bramy i tam go bili. Te przeżycia w tak młodym wieku odbiły się na jego późniejszym zdrowiu psychicznym.

Janka w tym czasie pomagała ojcu przy naprawie zegarków.

Inaczej natomiast potoczyły się losy Zosi i moje.

Po przejściu Wilna przez Rosjan Zosia została aresztowana przez NKWD i osadzona w więzieniu na Łukiszkach. Przebywała tam przez trzy miesiące i była tam szykanowana nocnymi przesłuchaniami, co ją wykańczało psychicznie.

Natomiast gdy ja miałem dwadzieścia lat, mój kolega szkolny, Józef Wysocki zaproponował mi wstąpienie do Armii Krajowej (AK). Ponieważ zostałem wychowany w duchu patriotycznym zgodziłem się od razu. W styczniu 1944 roku zaprowadził mnie do Kościoła Św. Piotra i Pawła na Antokolu, gdzie w obecności Komendanta Oddziału Brygady Szczerbca, kapitana Jana, złożyłem przysięgę na wierność Ojczyźnie. Obrałem pseudonim „Sokół”. W lipcu 1944 roku do Wilna wkroczyły Wojska Radzieckie. Pomimo braku zainteresowania Oddziałów AK moją osobą, związany przysięgą, poczuwałem się do obowiązku służenia Ojczyźnie. W związku z tym włożyłem przygotowany mundur, założyłem biało-czerwoną opaskę i zgłosiłem się do dowództwa AK, wykonując ich wszystkie rozkazy. Po koncentracji Oddziałów AK, wyruszyliśmy na pomoc oblężonej Warszawie. Po kilku dniach marszu, 18 lipca, pod Puszczą Rudnicką, zostaliśmy okrążeni przez wojska NKWD, rozbrojeni i wszyscy zostaliśmy wysłani do obozu w Miednikach Królewskich. Był tam punkt werbalny do Armii Berlinga. Stamtąd zostaliśmy wywiezieni do Kaługi. Wieźli nas tam około tygodnia w brudnych, bydłowych wagonach, tak stłoczonych, że jak ktoś chciał się na chwilę zdrzemnąć i przykucnąć, to pozostali musieli stać. Przez cały czas, jak na ironię, dawali nam, raz dziennie, twardą rybę z solanki. Nikt tego nie mógł jeść, bo na dodatek, przez całą drogę nie dali nam ani „jednego łyka” wody. Raz na dobę otwierali tylko wagony abyśmy mogli załatwić swoje potrzeby fizjologiczne. Kiedy dojechalśmy do Kaługi ironicznie przywitała nas orkiestra, grająca marsze legionowe. Mnie i kilku innych chłopców z ciężką dezynterią, przewieziono wozem konnym do szpitala, gdzie przebywaliśmy około trzech tygodni. Tam dowiedzieliśmy się, że pozostałych, przywiezionych AK-owców, chciano zmusić do złożenia przysięgi na wierność Związkowi Radzieckiemu. Ponieważ żołnierze AK odmówili, gdyż składali przysięgę na wierność Ojczyźnie, zrobiono z nich 361-wszy Pułk Zapasowy Piechoty i wywieziono do pracy przy wyrębie lasu w Sierednikowie. W rzeczywistości był to ciężki obóz pracy. Mnie na mocy orzeczenia szpitalnego uznano za zdolnego do „niestrajawoj roty”, czyli do plutonu nieliniowych i wywieziono do pracy w kołchozie niedaleko Kaługi.

Tam w ciągu dnia zwoziliśmy wołami, na drabiniastych wozach, siano z leśnych łąk i pasaliśmy bydło, a w nocy, kolejno każdy z nas, musiał pasać spętane woły lub pilnować bydła w stajni. Pewnej nocy, gdy miałem dyżur przy pasaniu wołów, jeden z nich mi uciekł. Strasznie się zdenerwowałem i aż do rana szukałem go po lesie. Na szczęście udało mi się go złapać. Noce były bardzo chłodne, więc gdy zbliżało się do zimy, przewieziono nas wszystkich z kołchozu do Kaługi. Pracowaliśmy tam w tartaku, gdzie musieliśmy rozładowywać tratwy i przenosić na plecach, we wskazane miejsca, długie, grube, zmarznięte kłody. Pamiętam, że rozmawiałem tam z miejscową kobietą, która zbierała korę na opał. Spytałem się jej jak im się tu żyje. Odpowiedziała mi, że źle, ale jej sąsiad, który należy do partii, to ma nawet rower.

W grudniu 1944 roku, w Święta Bożego Narodzenia, umundurowano nas i wywieziono do Sieredniakowa, gdzie zostaliśmy umieszczeni w trzecim batalionie. Przeżyliśmy tam jeszcze rok katorżniczej pracy. Mieszkaliśmy w ciemnych, zimnych ziemiankach z maleńkimi okienkami. Ogrzewane one były jedynie „piecykiem” zrobionym z beczki. Spaliśmy na tzw. narach, na surowych, gołych deskach, bez pościeli i przykrycia. W całym obozie nie było wody ani urządzeń sanitarnych. Jedynie za ziemianką znajdowała się prowizoryczna latryna. Raz w miesiącu, a może rzadziej, była kąpiel w tak zwanej „żarłupce”, czyli parówce, gdzie myliśmy się w miskach. Wtedy także zmieniano nam bieliznę osobistą.

Jako nielinowych dano nam „łżejszą pracę”, polegającą na układaniu sztapli drzewa, ścinanego wcześniej, przez zdrowych kolegów. Często robiono nam w nocy pobudki i wysyłano do ładowania podstawionych wagonów drzewem. Do tej pracy dobieraliśmy się w pary. Silni, dobrze zbudowani chłopcy dobierali się między sobą. Dzięki temu szybko oni załadowywali wagony i wracali do ziemianki, a takie słabeusze jak ja, musiały pracować aż do rana i bez chwili wytchnienia iść do codziennej pracy, przy układaniu sztapli. Przy takim wysiłku wyżywienie było głodowe. Mięsa nie widziało się na oczy. Nie wszyscy potrafili znieść te męczarnie. Jeden się powiesił, drugi zwariował, inni umierali z wycieńczenia. Jeden, spotkany przeze mnie niedawno kolega z tamtych czasów, wspominał, że chciał popełnić samobójstwo. Odwiódł go jednak od tego jego przyjaciel, dzięki któremu do dziś żyje. Byli i tacy (bardzo nieliczni), którym udało się uciec do

Wilna. Ja w Rosji nabawiłem się wielu chorób takich jak: nerwica, anemia, dystrofia, czyraczność. Całe nogi od kolan do stóp miałem pokryte ropnymi ranami. Cierpiałem też na szkorbut i próchnicę. Spróchniały mi prawie wszystkie zęby.

Po skończonej wojnie, przewieziono nas wszystkich do Polski, do Białej Podlaski, oddając w ręce UB. Potraktowano nas, byłych AK-owców, obrońców Ojczyzny, jak przestępców. Zrobiono nam zdjęcia, przystawiono do nich numery i wklejono do specjalnego dokumentu, stwierdzającego, że petent został zwolniony i uda się „tam i tam”. Taki właśnie dostałem tam dokument. Stamtąd udałem się do Łodzi, gdzie dostałem zapalenia okostnej. Policzki miałem spuchnięte jak banie. Z Łodzi udałem się do Warszawy. Tam zachorowałem na ciężką grypę i zapalenie płuc. Z powodu braku miejsc w szpitalach, umieszczono mnie w Szpitalu Zakaźnym. Tam, jako przybysza z obozu, trzymano mnie miesiąc. Po wyjściu ze szpitala pojechałem do Lublina, gdzie zwiedziłem obóz w Majdanku, a potem do Białego Stoku. Utrzymywałem się z otrzymywanych od państwa zapomóg. Żywiłem się i nocowałem w Urzędach Repatriacyjnych. W międzyczasie dowiedziałem się od znajomych repatriantów, że moja rodzina z Wilna szykuje się do wyjazdu do Polski. Udałem się więc do Olsztyna, ponieważ przez to miasto przejeżdżały transporty repatriantów. Tam przypadkowo spotkałem kolegę – Kazimierza Siemaszkę, z którym w Wilnie należałem do Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej i on mnie do siebie przygarnął. W Olsztynie jako były zegarmistrz szybko dostałem pracę w punkcie zegarmistrzowskim. Aby odnaleźć rodzinę chodziłem na wszystkie transporty Wilnian. Dowiedziałem się kiedyś, że moja rodzina była w transporcie, który jako jedyny jechał przez Warszawę. Moi rodzice wraz z rodzeństwem pojechali do rodzinnego miasta mojego ojca, Gdańska, które było po wojnie całkowicie zniszczone. Tam dowiedzieli się, że ja czekam na nich w Olsztynie, więc niezwłocznie wysłali po mnie moją siostrę Zofię i razem wróciliśmy do Gdańska. Po kilkuletnich cierpieniach i tułaczkach związanych z okresem wojny, „dzięki Bogu” znów wszyscy mogliśmy być razem. Były to jedne z najszcześniejszych chwil w naszym życiu. Wierzyliśmy, że zły los się wreszcie od nas odwróci.



W Gdańsku, w maju 1946 roku, zamieszkaliśmy przy ulicy Łąkowej 45 (róg ulicy Królikarnia), w czteropokojowym mieszkaniu, na drugim piętrze, w domu należącym do niejakiej Pani Miluskiej. W jednym z pokoi mój ojciec urządził sobie warsztat zegarmistrzowski. W oknie wywiesił zegar z ogromną tarczą, namalowaną przeze mnie. Wkrótce miał już dużą klientelę. Początkowo ja mu pomagałem w pracy, a później wyuczył zawodu moją siostrę, Jankę, która wykazywała w tym kierunku duże zdolności. Ojciec kontynuując tradycję z Wilna, nadal należał do Bractwa Trzeciego Zakonu Ojców Franciszkanów i co dzień, dając przykład swoim dzieciom, chodził rano na Mszę Świętą i przyjmował Komunię. W ciągu tygodnia, od świtu do nocy, siedział przy swoim warsztacie pracy (Fot.) a w niedziele lubił robić sobie długie wycieczki, żwawo maszerując (nigdy nie używał laski). Potrafił tak zejść z Gdańska aż do Kartuz, lub do Gdyni. Do końca swoich dni był sprawny, tylko miesiąc przed śmiercią leżał w szpitalu, gdzie zmarł dożywając osiemdziesięciu czterech lat. (zmarł w roku 1965r)

Nasz dom był zawsze pełen wartościowej, ambitnej młodzieży, z lat szkolnych i partyzanckich, której, w miarę możliwości, staraliśmy się pomagać.

Mieszkał u nas między innymi, wspomniany już wcześniej, Zygmunt Andrasz, który studiował na Politechnice Gdańskiej. Po uzyskaniu dyplomu dostał nakaz pracy aż pod czeską granicę, do Raciborza. Aktualnie mieszka z rodziną w Olsztynie. Mimo dzielących nas kilometrów przynajmniej raz w roku staramy się ze sobą spotkać. W tym samym pokoju mieszkał z nim też Adam Sielicki herbu Korczak pochodzący z włościańskiej rodziny z pod Nowogródka. W czasie wojny służył w AK i razem ze mną trafił do jednej ziemianki w Sieredniakach. W latach 40-tych pracował początkowo w szkole podstawowej przy ulicy Łąkowej, jako nauczyciel religii. Wieczorami się uczył, zdał maturę i dostał się na wydział lekarski Akademii Medycznej w Gdańsku. Niestety nie mając odpowiednich warunków odpadł po pierwszym roku. W naszym domu poznał szkolną koleżankę Janki, Jadwigę, z którą się ożenił. Obecnie mieszka wraz z żoną w Gdańsku na Żabiance. Przeszedł silny wylew na skutek czego jest sparaliżowany i nie może mówić. Często go odwiedzam i pomagam mu przetrwać trudne chwile choroby.

Gdy Adam się wyprowadził, zamieszkał u nas, również były AK-owiec, Eugeniusz (Gienek) Chlebowicz pochodzący ze szlacheckiej rodziny z pod Nowogródka. (O Chlebowiczach wspomina Henryk Sienkiewicz w swojej Trylogii). Pracując jako główny księgowy jednocześnie się uczył. Po zdaniu matury studiował w Lublinie na KUL-u, nie mając jednak tam odpowiednich warunków, wrócił do Gdańska i skończył zaocznie prawo na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Teraz mieszka niedaleko mnie, przy ulicy Batorego, z żoną Alicją – lekarką okulistką. Podobnie jak z poprzednimi kolegami utrzymujemy ze sobą stały kontakt.

Mieszkał również z nami Zenon (Zenek) Godzwon też pochodzący z Nowogródka, którego ojciec był perukarzem z Warszawy. Był on AK-owskim kolegą Adama Sielickiego. Zenek wyróżniał się odwagą w partyzanckiej walce z wrogiem. On także pracując jednocześnie pilnie się uczył. Studiował wieczorowo na Politechnice Gdańskiej. Ucząc się nieraz do późnego wieczoru, aby nie zasnąć, siedział z mokrym ręcznikiem na głowie i nogami w misce z zimną wodą „zakuwał” matnę i fizę. Wysiłek ten jednak nie poszedł na marne bo Zenek otrzymał dyplom inżyniera elektroniki. (zmarł w kwietniu 1998)r.

Odwiedzali nas też inni koledzy szkolni między innymi: Alojzy Wierciński (wileński przyjaciel Józia), Wacław Radkiewicz i już wcześniej wspomniany Józef Wysocki.

Józef po wojnie pływał na statku handlowym. Potem zamieszkał we Wrzeszczu przy ulicy Wiązowej i pracował w służbie zdrowia. Miał tylko wykształcenie podstawowe, jednak wyróżniał się wybitną inteligencją. Miał wyjątkowe zdolności plastyczne. Malował piękne obrazy, którymi obdarowywał swoich przyjaciół. Interesował się Starożytną Grecją i Rzymem, do tego stopnia, że nawet dzieci swoje nazwał imionami cesarzy rzymskich (Marek, Klaudiusz i Gabriela, która jest moją chrześniaczką). Jego mieszkanie, bardzo gustownie urządzone, wyglądało jak muzeum. Zbierał obrazy wybitnych malarzy, starożytne rzeźby, antyki oraz posiadał unikalną w skali światowej kolekcję medali. Z racji jego zainteresowań odwiedzali go profesorowie wyższych uczelni. Był człowiekiem wesołym i bardzo szanowanym. Moje córki bardzo lubiły go odwiedzać, nieraz nawet przychodziły do niego ze swoimi przyjaciółmi. Niestety zmarł on bardzo wcześnie, jako pierwszy z moich przyjaciół w latach 80-tych. Różnie potoczyły się również losy moje i mojego rodzeństwa. Najstarsza siostra, Zofia, jeszcze w Wilnie nauczyła się krawiectwa,

lecz nie chciała się zajmować tym zawodem. Pracowała ona jako księgowa w CPN-ie. Będąc już na emeryturze wyszła za mąż za rozwiedzionego Jana Łyżwińskiego.(zmarł w 1997r) Nie ma ona potomstwa. Natomiast mój najmłodszy brat – Józef, po zdaniu matury pracował jako inspektor w Urzędzie Miar i Wag.

Po śmierci ojca Zofia, wraz z matką i najmłodszym bratem Józefem, przeprowadziła się na ulicę Kartuską 100 m. 1 (Siedlce) do dwupokojowego mieszkania. Tam mieszka do chwili obecnej. Natomiast matka, dożywszy spokojnej starości, zmarła w 1989r w wieku dziewięćdziesięciu sześciu lat, a najmłodszy brat, Józef zmarł w 1992r.

Natomiast moja druga siostra Janka, mieszkając jeszcze z rodzicami, przy ul. Łąkowej, poślubiła wyżej wymienionego Zenka Godzwona. Zamieszkali oni we Wrzeszczu przy ul. Nowotki 10 (obecna ul. Wilka Krzyżanowskiego). Zenek sprowadził tam ze wschodu matkę. Godzwonowie mieli trzy córki: Teresę, Krystynę i Annę (Hanę).

Najstarsza Teresa, po zdaniu matury dostała się na studia matematyczne, które ze względu na chorobę musiała przerwać. Wyszła ona za mąż za posiadającego własną firmę budowlaną Janusza Mincberga. Teresa zaś jako zdolna matematyczka pracowała na komputerze w księgowości w prywatnej Wyższej Szkole Biznesu i Marketingu. Tam też dostał się do pracy ich syn Jacek, który skończył szkołę fotograficzną oraz córka Jolanta. Wszyscy mieszkali w Gdańsku - Morenie. Jacek i Jolanta założyli własne rodziny. Jacek ma córeczkę, Jola synka. (W styczniu 1999r. po długiej chorobie zmarła Teresa, a w dwa miesiące później nagle odeszła jej matka Janka. Zenek natomiast umarł, podobnie jak jego córka, na raka rok wcześniej).

Druga córka Godzwonów, Krystyna, której jestem ojcem chrzestnym, skończyła szkołę gastronomiczną. Pracowała też w tej firmie co Teresa. Wyszła ona za mąż za Andrzeja Klonowskiego. Mieli oni syna Tadeusza. Po kilku latach małżeństwa rozwiedli się i Andrzej wyemigrował do Niemiec. Z Krysią natomiast zamieszkał Marek Wolny, który jest nauczyciel W.F. W 1992r. urodziła im się Ania. Tadeusz 19 lat starszy od Ani studiował dwa lata na Gdańskiej Politechnice, a potem poszedł do pracy gdzie pracowała matka, studia kontynuował zaocznie. Mieszkali oni w Gdańsku – Żabiance.

Najmłodsza córka Janiny Hanka jest bardzo zdolną krawcową. Wyszła ona za mąż za Kazimierza (Kazika) Muchę. Jeździł on często do Niemiec, gdzie dobrze zarabiał, a będąc

w Gdańsku jeździł taksówką. Wybudował on dom w Gdańsku – Osowie. Hanka zaś obecnie założyła własną firmę krawiecką. Mają oni dwóch synów: Pawła i Adama. Paweł robi teraz maturę.

Pozostały jeszcze do opisanego moje losy. Aby to uczynić muszę wrócić do czasów powojennych i do mieszkania przy ul. Łąkowej. Zdopingowany przez kolegów, którzy z nami mieszkali, postanowiłem nadrobić czas stracony podczas wojny i zabrałem się intensywnie do nauki, jednocześnie pracując. Zostałem przyjęty do trzeciej klasy gimnazjum wieczorowego dla pracujących. Mieściło się ono przy ul. Wały Piastowskie (obecne LO nr I). Z tego gimnazjum utkwił mi w pamięci wspaniały wykładowca języka polskiego prof. Janik. Po roku nauki zapisałem się na roczny kurs maturalny, zdając w roku 1949 jako ekstern maturę. Po roku pracy w Zakładzie Technologii Medycznej Wydziału Farmaceutycznego AMG, zdałem na studia farmaceutyczne. Na moim roku było sześćdziesięciu dwóch studentów. Wszyscy oni, oprócz mnie i jednego kolegi byłego AK-owca należeli do Związku Młodzieży Polskiej (o ideologii komunistycznej). Po otrzymaniu dyplomu magistra w roku 1954 dostałem nakaz pracy do apteki w Ostródzie (woj. Olsztyńskie). Po półrocznej pracy zostałem powołany do zawodowej służby wojskowej. Pracowałem w Aptece Wojskowego Szpitala Garnizonowego w Piszcu (woj. Olsztyńskie). Po pewnym czasie zostałem wezwany do oficera politycznego, który oznajmił mi: „Słuchajcie poruczniku my was obserwowaliśmy i stwierdziliśmy, że się nadajecie na człowieka partii”. Na co odpowiedziałem: „Nigdy nie należałem do żadnej partii i teraz się nie zapiszę, bo jestem wierzącym i praktykującym katolikiem”. Kilka razy pisałem raporty o zwolnienie do cywila, bo takie wojsko mi nie odpowiadało. Podkreślałem nawet, że w rodzinie są zakonnice i ksiądz. Nic jednak nie pomagało. Z Piszca zostałem przeniesiony do takiego samego szpitala w Olsztynie, stamtąd zaś do Grudziądza. Po dwóch latach służby, dzięki „gomułkowskiemu” przewrotowi zostałem zwolniony z wojska i udałem się do rodziny w Gdańsku. Tu przez rok pracowałem w aptece Szpitala Reumatologicznego w Sopocie. Potem dostałem pracę w Laboratorium Kontrolnym Gdańskiego Zarządu Aptek. Sprawdzano tu jakość wszystkich leków.

Pracowałem tu jako asystent przez jedenaście lat poznając dogłębnie analizę chemiczną. W tym czasie w Warszawie skończyłem roczny kurs analizy farmaceutycznej. Opublikowałem w fachowym piśmie „Farmacja Polska” kilka prac. Poza tym sam opracowałem oznaczenie jodu w płynie Lugola (J + KJ), dotychczas nieoznaczalnego. Po opublikowaniu w „Farmacji Polskiej” metodą tą zainteresowali się uczeni z Niemiec przysyłając mi pismo zatytułowane „Pan prof. Antoni Wilczewski” z prośbą o dokładniejsze opisanie tej metody. Teraz moja córka Jola mówiła, że na studiach oznaczała moją metodą jod w płynie Lugola.

Po jedenastu latach pracy w Laboratorium Kontrolnym w Gdańskim Zarządzie Aptek przeniósłem się do pracy w Wojewódzkiej Stacji Sanitarnej – Epidemiologicznej, do laboratorium działu badania żywności. Otrzymałem tu stanowisko starszego asystenta i powierzono mi samodzielną pracę w niedawno utworzonej pracowni badania pestycydów w żywności. Był to nowy, dotychczas nie znany (nawet na zachodzie jeszcze dokładnie nie rozpracowany) bardzo pracochłonny i trudny dział analizy. Pracując tam sprowadziłem wówczas nowoczesny aparat analityczny chromatograf gazowy i po zamontowaniu go sam na nim pracowałem. Prowadziłem analizę pestycydów i jednocześnie w osobnej pracowni (piętro niżej) oznaczałem wyekstrahowane z żywności próbki oznaczając w nich ilość pestycydów. Miałem tylko przydzieloną laborantkę, która się nie znała na tak skomplikowanej gałęzi pracy. Skończyłem tam kurs z pestycydów i chromatografii gazowej. W tym laboratorium przepracowałem trzynaście lat do roku 1983. W tym samym czasie, popołudniami (na drugą zmianę) pracowałem jakiś czas jeszcze dodatkowo w Przychodni Zdrowia przy ul. Jaskółczej sprawdzając zrealizowane recepty. Gdy założyłem rodzinę, pracowałem dodatkowo w Aptece Szpitala Zakaźnego. Przepracowałem tam dziesięć lat sprawdzając w małym laboratorium jakość płynów iniekcyjnych i innych leków wyprodukowanych w aptece. Poza tym brałem w San-Epidzie prace zleczone (dodatkowo płatne). Na emeryturę odszedłem mając sześćdziesiąt lat, bo w laboratorium wyeksploatowałem się, a poza tym praca ta była bardzo szkodliwa dla zdrowia, a często spędzałem przy niej całe dni.

Pracując jeszcze w Laboratorium Kontrolnym Gdańskiego Zarządu Aptek zapisałem się do Spółdzielni Mieszkaniowej „Budowlani”, znajdującej się w Oliwie przy ul.

Grunwaldzkiej, na dwa pokoje (M-4). Część wkładu otrzymałem z zakładu pracy. Po trzech latach czekania ok. 1963 roku dostałem takie mieszkanie niestety przysługiwało ono cztero osobowej rodzinie. Nie otrzymałem więc kluczy. Powiedziałem o tym swojej koleżance z laboratorium. Ona zaproponowała mi zamianę mieszkania na co z chęcią się zgodziłem. Swój przydział wręczyłem tej koleżance, a jej mąż załatwił ze spółdzielnią wszystkie formalności. Tym oto sposobem stałem się posiadaczem mieszkania na „Osiedlu Młodych” im. Janka Krasickiego. Z ulicy Łąkowej gdzie mieszkali rodzice z resztą rodzeństwa przeprowadziłem się na ul. Chełmońskiego 12 m 22 (trzecie piętro). Mieszkanie to pięknie umeblowałem i pomyślałem wówczas o małżeństwie. Było ku temu wiele okazji lecz dotychczas z żadnej nie skorzystałem. Pewnego razu, mój kolega, lekarz Jerzy Pimpicki zaprowadził mnie do swojej koleżanki mieszkającej u brata na tym samym osiedlu w wieżowcach przy ul. Michałowskiego, Reginy, Barbary Matuszewskiej. (Posługiwała się na co dzień imieniem Barbara.) Była to wyjątkowo ładna panna po studiach chemicznych na Uniwersytecie Poznańskim. Miała ona też przyjaciółkę Barbarę Piterę, pannę po psychologii też na Uniwersytecie Poznańskim. Odtąd byłem częstym gościem w domu Matuszewskich. Tak to zawiązała się obopólna przyjaźń zakończona małżeństwem moim z Barbarą Matuszewską. Miałem wówczas czterdzieści trzy lata, a Barbara trzydzieści siedem. W dniu 3 września 1966 roku stanęliśmy na ślubnym kobiercu. Ślub odbył się w kościele Ojców Zmartwychwstańców we Wrzeszczu. Wesele było skromne tylko w gronie najbliższej rodziny.

Barbara pracowała w różnych laboratoriach. Po studiach dostała nakaz pracy do wielkich zakładów metalowych „Zamech” w Elblągu. Potem przeniosła się do Gdańska. Tutaj pracowała w Stoczni Gdańskiej na wydziale W-4 jako technolog. (Sprawdzała jakość farb malarskich.) Potem jako kierowniczka zakładała laboratorium w Przychodni Przemysłowej przy ul. Chmielnej w Gdańsku. Naprzeciwko Cefarmu gdzie pracowałem ja. Po ślubie moja żona przeszła do pracy w zakładach produkujących bombki na choinkę „Gedania”, gdzie doglądała produkcję robotników.

Barbara od trzydziestego roku życia chorowała na dychawicę oskrzelową (astma) dlatego też nie mogła poświęcić się karierze zawodowej. Wiele lat spędziła w sanatoriach i szpitalach, np. przez trzy lata mieszkała w Szczawnicy. Z powodu choroby miała problemy

z donoszeniem ciąży. Jednak 30 kwietnia 1968 roku przyszła na świat nasza pierwsza córka Magdalena Maria. Zajmowane przez nas mieszkanie (pokój 17m i drugi 6m z malutką, ciemną kuchnią) stało się za małe. Wobec czego wystąpiłem o zamianę mieszkania na większe. Po kilku latach czekania dostaliśmy mieszkanie przy ul. Michałowskiego 27m<sup>3</sup>, gdzie mieszkamy dotychczas. Mieszkanie ma czterdzieści dwa metry kwadratowe, dwa pokoje z piękną kuchnią. Tu pojawiła się druga córka Jolanta Bożena (ur. 3 sierpnia 1972 roku).

Nasza starsza córka, Magdalena, po ukończeniu Sportowej Szkoły Podstawowej nr 70 kontynuowała naukę w LO IX im. Giuseppe di Vittorio. Tam po południu skończyła czteroletni kurs języka angielskiego. Po pewnym czasie zdała państwowy egzamin z języka angielskiego pierwszego stopnia First Certificate. Magdalena po maturze ukończyła Medyczną Szkołę Fizjoterapii we Wrzeszczu. Po ukończeniu jej pracowała przez trzy lata jako rehabilitantka w przychodni przy Stoczni Gdańskiej. Pewnego dnia Magdusia chcąc zrobić rodzicom niespodziankę przyszła do nas i oświadczyła nam, że zdała egzamin na zaoczne studia pedagogiczne, specjalność resocjalizacja na Uniwersytecie Gdańskim. Po pięciu latach, z wynikiem dobrym, dostała dyplom magistra. Po zwolnieniu się z przychodni stoczniowej szukała ona innej pracy. Między innymi złożyła ofertę o pracę w Biurze Pracy Zarządu Regionu NSZZ "Solidarność" w Gdańsku. Tam oznajmiono jej, że w komisji zakładowej w Stoczni Gdańskiej potrzebują sekretarkę, gdzie się właśnie udała. Tam sprawę przyjęcia załatwił wiceprzewodniczący stoczniowej Solidarności Karol Guzikiewicz. Magdalena od razu „wpadła mu w oko” i chętnie przyjął ją do pracy. Po jakimś czasie wywiązało się obopólne zainteresowanie. Karol był wielkim patriotą i zapalonym „solidarnościowcem”. W stanie wojennym brał czynny udział w manifestacjach i w okresie zagrożenia likwidacją stoczni organizował strajki i manifestacje. Był on przyjacielem Lecha Wałęsy i prałata ks. Jankowskiego, który jako proboszcz w kościele św. Brygidy, wygłaszał płomienne, patriotyczne kazania, na które przychodziły tłumy ludzi. 12 czerwca 1993 roku ks. Henryk Jankowski połączył Karola i Magdę węzłem małżeńskim. Huczne wesele, na którym przeważała stoczniowa brać z prezesem i księdzem prałatem na czele, odbyło się w Domu Technika. Karol okazał się bardzo pracowitym, religijnym, nie palącym i nie pijącym młodzieńcem. Młodzi Guzikiewiczze

zamieszkali w Gołębiewku u brata Barbary Tadeusza Matuszewskiego, który odstąpił im 1/3 część swojej posiadłości. Karol zabrał się intensywnie za przebudowę zniszczonego domu. Karol i Magda mieli dwoje dzieci Joannę i Michała.

Nasza druga córka Jola po ukończeniu Sportowej Szkoły Podstawowej nr 70 oraz VI LO w Gdańsku zdała na chemię – ochrona środowiska na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Po pięciu latach studiów jako jedna z najlepszych otrzymała dyplom magistra chemii z wynikiem bardzo dobrym. Pracę dostała w „Metalplacie” w Obornikach pod Poznaniem, gdzie stała się bardzo cenionym pracownikiem. Podczas studiów, między Jolką a jej kolegą z roku Rafałem Podwojskim nawiązała się przyjaźń i sympatia. W rok po ukończeniu studiów 12 kwietnia 1998 roku odbył się ślub Jolanty i Rafała, który udzielił im proboszcz naszego parafialnego kościoła pod wezwaniem Stanisława Kostki w Gdańsku. Huczne wesele w gronie rodzinnym odbyło się w restauracji „Wanoga” w Chwaszczynie pod Gdańskiem. Rafał po ukończeniu studiów dostał pracę w laboratorium kryminologii w Wojewódzkiej Komendzie Policji w Poznaniu. W Legionowie pod Warszawą skończył półroczny kurs ze stopniem podinspektor (młodszy asystent). Praca ta mu się bardzo podoba. Rafał jest jednakiem i młodzi na razie mieszkają z jego rodzicami w Poznaniu. Starają się o własne mieszkanie i myślą o potomstwie.

Myślę, że również warto wspomnieć, iż Gdańsk a w nim Stocznia Gdańska stała się kolebką przyszłej wolności ojczyzny, a nawet innych krajów. Tu wybuchały strajki i manifestacje przeciw narzuconemu Polsce totalitarnego systemu. My również czasami braliśmy udział w tych aktach protestu, stojąc co dzień przed strajkującą stocznia. Gdy ogłoszono stan wojenny i uwięziono aktywnych działaczy „Solidarności” wraz z córkami i szwagrem Tadeuszem odwiedziliśmy biedną Wałęsową, która otworzyła nam drzwi z najmłodszą latoroślą (Wiktoria) na rękach. Wręczyliśmy jej słodycze ze słowami otuchy. Wspomnieć jeszcze należy też o tym, że grób mojego ojca – Tadeusza Wilczewskiego razem z matką Katarzyną Wilczewską i najmłodszym bratem Józefem znajduje się na Cmentarzu „Srebrzysko”. Tam też jest grób mojej ciotki Marii Wilczewskiej i teściowej Joanny Matuszewskiej oraz mojego szwagra Zenona Godzwona i jego matki.



Tutaj proszę bardzo następne pokolenia naszego rodu o to żeby nie zapominały o grobach przodków, a przede wszystkim aby pamiętali w modlitwie o ich duszach.

Na zakończenie apel, żeby wnukowie i prawnukowie rodu Wilczewskich czytający te słowa nie sprzeniewierzyli się ideałom przodków i byli wierni hasłu „Bóg, Honor, Ojczyzna”.

Na tym kończy się saga rodu Wilczewskich.

Gdańsk, dnia 16 listopada 1998 roku.